

Nikoła Georgijew

Kim jesteś, literaturoznawco?

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 3 (51), 159-167

1998

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Nikoła Georgijew

Kim jesteś, literaturoznawco?¹

Obok niezaprzeczalnych wartości artykuł Vladimira Macury kryje w sobie zarazem pewną nie całkiem oczywistą zaletę; rozpoczyna się pytaniem i pod jego dyktando zdąża do zakończenia. Jest to pytanie, które nie przypiera nikogo do muru, nikogo nie zmusza do odpowiedzi, nikogo i nic – oprócz zadumy – nie prowokuje. Nieczęsto spotykana cnota, szczególnie rzadko obserwowana w topornej retoryce naszych piszących autorów.

Pytania są dwa. Jedno natury personalnej, a konkretnie historycznej: co ma znaczyć fakt, że Victor Klemperer, Roland Barthes, Umberto Eco, Michał Głowiński i wreszcie ja sam na jakiś czas porzucamy zasadnicze zajęcie, określone w artykule mianem teorii literatury i zabieramy się do rzeczy, które, choć związane z literaturoznawstwem, są wszystkim, tylko nie pracami literaturoznawczymi. Drugie pytanie wykracza poza personalne kwestie i warto poświęcić mu kilka słów: co dzieje się ze współczesnym literaturoznawstwem i współczesnymi literaturoznawcami? – uciekają od swojej dyscypliny i samych siebie, czy też ambitnie rozszerzają swoją wiedzę i pojęcia o rozległym świecie poza-

¹ N. Georgijew *Koj ste wie, gospodin literaturowed?*, „Literaturen westnik”, (Sofia) 1995 nr 39.

literackim – zaczynając od francuskiej kuchni a kończąc na idiotycznym herbie Ludowej Republiki Bułgarii, na którym, jak wynikało z konstytucyjnego zapisu, miał być umieszczony „lew nad kotem zębatym”. Ponieważ oba pytania zostały uściślone, wypada, abym najpierw skreślił słów kilka na temat pierwszego.

Po oficjalnym upadku dyktatur w Europie Wschodniej wielu tamtejszych literaturoznawców nieoczekiwanie przedstawiło prace z zakresu problematyki społecznej. Do tej pory ci sami ludzie szukali miejsca – pozbawieni szans na znalezienie zawodowego schronienia – w sferach możliwie najbardziej oddalonych i możliwie najmniej widocznych dla stuokiej rządzącej ideologii. W delikatnej retoryce Macury są to „czasy, gdy paralelne światy literatury proponują jako alibi ponętą możliwość skrycia swoich zmysłów za tym, co przynosi codzienność”. Z tego, co działo się w życiu codziennym i w wielkiej polityce, literaturoznawcy lepiej czy gorzej zdawali sobie sprawę, ale nie mogli tego napisać – chyba że do własnej szuflady. A gdy przemówili, świadczyło to o kilku rzeczach.

Po pierwsze, ujawniła się gotowość i potrzeba tych literaturoznawców, z których wielu było zatwardziałymi *outsiderami*, by w jakiś sposób się przyłączyć do społecznych działań. Nadeszły takie czasy, o których Penczo Sławejkow powiada, że „mogą zachęcić do działania nawet spoczywających na cmentarzach”. Dlatego więc wielu społecznych nieboszczyków, skuszonych chęcią „uczestnictwa” i męczonych myślą, jak tego dokonać, naprawdę zmartwychwstało. W Bułgarii literaturoznawca mógł zostać posłem, ministrem, przywódcą partii, ambasadorem lub nawet kandydatem na prezydenta. W Europie Wschodniej owe pokusy okazywały się z ich punktu widzenia albo mało gustowne, albo też szybko zdano sobie sprawę z trudności zadania, literaturoznawcy zostali więc przy swoich biurkach, ale zaczęli tworzyć dziwną mieszankę publicystycznej filologii i filologicznej publicystyki, której, ku swemu zawstydzeniu, nie potrafili nadać nazwy gatunkowej². W taki sposób przyłączyli się do fali wielkiego i entuzjastycznego dzieła. Tylko tam, gdzie dawni społeczni nieboszczycy zmartwychwstali, okazało się, że wielkie dzieło zaczęło szybko umierać. I jak wynika z moich obserwacji, przedstawiciele rasy literaturoznawców, jeden po

² „Dla swoich prac nie udało mi się znaleźć mądrzejszego określenia niż «eseje polityczno-filologiczne»”.

drugim, zaczęli rezygnować ze społecznego pisania i wrócili do swoich fabuł, chronotopów i rymów krzyżowych. To, co napisali, dobre czy kiepskie, pozostało wspomnieniem po czasach, które w granicach ludzkiego życia z trudem mogą się powtórzyć.

Czy znaczy to, że w ten sposób literaturoznawcy uciekali od swojego zajęcia? Tak, w tym sensie, że częściowo i na jakiś czas odłożyli je na bok. Przyczyną rozłąki nie była jednak kłótnia w rodzinie, poróżnienie z zawodem, lecz zewnętrzne wpływy społeczne. Zapał był masowy i nic dziwnego, że w duszach niektórych odezwał się głos Niekrasowa (cytuje z pamięci): „Literaturoznawcą możesz nie być, a obywatelem musisz”. Odezwał się nawet w duszach tych, którzy się przekomarzali czy kpili z zalecenia Niekrasowa. Po drugie, wtargnięcie literaturoznawców na grunt życia społecznego z nieliteraturoznawczą twórczością było także znakiem świadczącym o czymś innym – o poczuciu, że teksty literaturoznawcze mają znikomą współczynnik społecznego oddziaływania i jeśli ów literaturoznawca chce coś powiedzieć swojemu społeczeństwu, musi poszukać innego kodu i innych gatunków. Jeszcze raz się okazało – i tym razem prawda miała gorzki posmak – że daleko odeszliśmy od czasów i sytuacji Bielinskiego i Dobrolubowa, a nawet Mathew Arnolda, gdy ich artykuły na temat takiego czy innego problemu literackiego były oczekiwane jako wydarzenia w życiu społecznym Rosji, czy też kształtowały moralne problemy Anglii. W ten sposób określone kwestie z punktu widzenia profesjonalisty nabierają wagi. Jedenaście lat przed wielkim fermentem w Europie Wschodniej, w książce Edwarda Saïda *Orientalizm* (1978) doradza się literaturoznawcom, aby mówili nieakademickim językiem i na nieakademickie tematy, aby odkrywali ukryte związki między władzą i nauką. I gdy wschodnioeuropejscy literaturoznawcy od Moskwy po Zagrzeb, od Warszawy po Sofię zaczęli się tym zajmować i to w znacznie szerszym zakresie, niż wynikałoby z rad Saïda, zadano im tyleż naturalne co niepokojące pytanie: czy przypadkiem nie uciekają od swojego zawodu?

Jak więc wygląda ten zawód? Literaturoznawcy utknęli w pozycji „ni pies nie wydra”. Gdy zajmują się swoją dyscypliną, narażają się na zarzuty, że są aspołeczni. Gdy zaś rzucają się w wir społecznych działań, podejrzewa się ich o ucieczkę od zawodowego literaturoznawstwa. [...] Zgodnie z dotychczasową hipotezą, zapał niektórych literaturoznawców z Europy Wschodniej, aby zbaczać w kierunku bocznych ścieżek lub je wydeptywać, ma związek z aktualnymi wydarzeniami i charak-

terem literatury i literaturoznawstwa, zakodowanymi w nich samych. Taki wniosek w jakimś stopniu jest poprawny, ale jeszcze więcej znajdzie się kontrargumentów. Jeden z nich, przynajmniej pośrednio, wywodzi się z artykułu Macury. Można w nim wyczytać jeszcze jedno ciszej zadane pytanie: no dobrze, jeśli dobrowolnie noszący żółtą szescioramienną gwiazdę Victor Klemperer i ci, którzy również dobrowolnie nosili pięcioramienną czerwoną gwiazdę w Rosji, Polsce i innych krajach, wykorzystali społeczne bodźce, pozwalające umknąć na boczne, nie całkiem literackie ścieżki, dlaczego coś podobnego robią Umberto Eco, Roland Barthes, którzy są obywatelami niby demokratycznych państw? To jeden z najsubtelniejszych fragmentów artykułu Macury. Jawnie zadane pytanie brzmi: co dzieje się w literaturoznawstwie? – pomocnicze zaś: czy nie istnieje aby coś wspólnego w pobudkach Klemperera i Barthes'a (jeden analizuje kalki słowne hitlerowskiej retoryki, drugi – klisze francuskich wyobrażeń i sposobu życia)? Sądzę, że tak jest, niezależnie od ogromnych różnic w ich osobistym położeniu i odrębności politycznych reżimów.

Po wprowadzeniu ustaw antysemitycznych w Niemczech Klemperer wie-dzie żywot poniżonego inteligenta niemieckiego, któremu zabrania się podjęcia jakiegokolwiek pracy literackiej, pozwala za to nieustannie czuć się, jakby stał u bram obozu koncentracyjnego. Między ciężką pracą fizyczną i ciągłym zagrożeniem Klemperer prowadzi swój, jak go nazywa, „notatnik filologa”. Zapiski trzyma nawet nie w szufladzie, lecz chowa w najbardziej zakamuflowanych miejscach domu, szyfruje je i nadaje tytuł *LTI*, w czym nawet najinteligentniejszy gestapowiec nie doczytałby się łacińskiego skrótu „język trzeciego imperium”, a potem zrozumiał, że chodzi o język Trzeciej Rzeszy. Jego książka ujrzy światło dzienne dopiero po zakończeniu wojny.

Różnica między losem Klemperera i wspomniałym, frywolnym życiem francuskiego intelektualisty, Rolanda Barthes'a, jest taka, jak między niebem a ziemią. Wspomnijmy tylko o jednym – Barthes z wyprzedzeniem ogłasza niektóre z autorskich zamiarów, a rękopisy natychmiast wędrują do największych francuskich i europejskich dzienników, czasopism, wydawnictw. Różnica ogromna, choć nie aż tak bardzo, jeśli chodzi o mechanizmy i wyniki działań obu autorów analizy³. Obaj żyją

³ Słyszając to, mogą odezwać się urażeni demagogdy i niektórzy łatwowierni, dla których ...

w społeczeństwach dyktatorskich, jeden nacjonalistycznym, drugi kapitalistycznym. Obaj żyją w społeczeństwie bezwzględного przymusu – obojętnie – czy chodzi o faszystowski but, czy pieniądze i obowiązkową konsumpcję. I co dla nas ważniejsze, obaj są otoczeni obrazami i kliszami słownymi zrodzonymi z przymusu i będącymi na usługach przymusu. Niezależnie od stopnia zróżnicowania ich sytuacji, i Klemperer, i Barthes przetwarzają te obrazy tak samo. Mówiąc krótko i słowami Szklowskiego „obnażają odbiór”..., czyli obnażają metodę. Snuć przypuszczeń na temat pobudek tego zajęcia jest ryzykowne i nie całkiem etyczne, ale jego społeczna znakowość jest widoczna gołym okiem.

Jedna z lansowanych opinii głosi, że inteligencja i intelektualiści stanowią grupę społecznie opozycyjną, a w dzisiejszym społeczeństwie kapitalistycznym są już w ogóle zepchnięci na peryferie, margines. Inteligencja i intelektualiści są oparciem językowym każdego istniejącego porządku – konstatają zwolennicy innego poglądu, a Régine Debré dodaje: inteligent jest „zwierzęciem władzy”, intelektualista jest „zdrajcą” wspierającym kapitalistyczne społeczeństwo, nawet gdy jawnie przeciwko niemu protestuje (w książce *Uczniowie, pisarze, znakomitości – intelektualiści we współczesnej Francji*). Jedynym wyjściem, aby człowiek wybrnął z tego zakłętego kręgu przeciwieństw, jest przyjęcie za prawdziwe obu stanowisk i określenie pozycji inteligencji i intelektualistów jako zjawiska dwukierunkowego. Są oni głównymi twórcami obrazów, apeli, frazesów mających charakter zakłęb, klisz językowych, haseł, które działają na rzecz rządzącej władzy i ideologii, są też autorami sceptycznych i demistyfikujących analiz – twórcami, a zarazem niszczycielami swoich produktów. Oba rodzaje działalności wydobywają na jaw społeczną rachityczność inteligencji i intelektualistów. Siłą tej słabości jest gotowość i niekiedy zdolność do analizy szeroko przyjętych obrazów, frazesów, prawd – analizy sceptycznej, bardzo często prześmiewczej, poszukującej stosownego dla nich oparcia, określenia ich kształtu i wpływu – wpływu o charakterze manipulacyjnym. W ten sposób inteligent, a częściej intelektualista, wchodzi w rolę pocieszyciela, bardzo nieskromną dla kogoś, kto zna i rozumie to, czego „inni”, a jest ich większość, nie wiedzą i nie pojmują. Wiedzą i rozumieją, jaka jest istota treści okrzyku „Za rodzinu, za Stalinu!”, z którym żołnierze wyskakują z okopów i ruszają na przeciwnika, wiedzą, co oznacza okrzyk „Buł-garzy, ju-na-cy!”, wstrząsający stadionami

mi piłkarskimi. Wiedzą i chętnie by to powiedzieli, ale wolą, aby nie doszło to do uszu NKWD i nie otało się o pięści wielbicieli bułgarskiego futbolu. W potyczce (oby wyłącznie skończyło się na słowach) może przydać się stara jak świat para – rozum i głupota.

Za protoplastę symbolicznego początku nowoczesnego intelektualisty europejskiego uznaje się Erazma. Czy tak jest naprawdę, czy rozsądek nakazuje wykorzystywać emblematyczne znaki – to już zupełnie inna kwestia. Ważne, że z emblematem czy bez, z Erazmem kojarzy się jego utwór *Pochwała głupoty*. Nie zwraca się uwagi na mimowolne zagubienie w poszukiwaniu Boga, na celową i nienawistną ucieczkę od prawdy boskiej w herezję, lecz na głupotę, która stanowiła temat jednego z najświetlejszych osiągnięć rozumu antycznej pogańskiej Europy. Potem przemijają czasy Swifta, Woltera, Marksa – czasy, w których zawsze znalazł się ktoś reagujący złością na głupotę lub wyśmiewający ją. Przyszła też przebudowa, a za nią okres potransformacyjny – i wtedy także znaleźli się ludzie, którzy analizowali obrazy, frazesy i ogólnie przyjęte prawdy. Wśród nich byli także literaturoznawcy – co nieco dziwi, ale jednocześnie zachwyca.

Na tarczy czy w natarciu pozostają literaturoznawcy, tworzący szczególne w swoim rodzaju prace – pyta w tytule swojego artykułu V. Macura. Tak, atakują, w tym sensie, że godzą słowem w odporne punkty istniejącego porządku. Nikomu i niczemu z tego powodu nie dzieje się nadzwyczajna krzywda. Proces powstawania obrazów, frazesów, klisz językowych itd. nigdy się nie kończy i nie można go zatrzymać, jest jak smok o stu głowach, któremu żaden językowy cios nie odetnie bodaj jednej. Głowy odpadają tylko pod naciskiem zmian okoliczności społecznych – po to, by zastąpiły je inne. W tym jednak, co o nich napisano, widać niepoahamowaną chęć człowieka do prowadzenia obserwacji, myślenia i – co najważniejsze – do sprzeciwu. Jest to również świadectwo, że istota ludzka jest nie tylko gotowa tworzyć władzę, ale także podrywać jej autorytet.

Czy przypadkiem jednak nie uciekają? – powtarza z uporem V. Macura. Tak postawione pytanie zakłada wizerunek literaturoznawcy, który mówi i pisze wyłącznie o literaturze. W połowie XIX wieku ogólnoeuropejski proces rezygnacji z uogólniania kategorii, wiedzy i zawodów doprowadził do oddzielenia literaturoznawstwa od estetyki, filozofii i ogólnej kategorii, jaką była filologia. (Teraz mówi się u nas, że literaturoznawstwo ostatnich dziesięcioleci było szalenie filologiczne

i nadszedł czas, aby uwolniło się od tej tendencji, wchodząc na szerokie pole kulturologii). Jak można twierdzić, że literaturoznawstwo XX wieku było zbyt filologiczne! Wchodzili do niego jeden za drugim badacze, którzy za Romanem Jakobsonem mogliby razem powiedzieć: „Jestem filologiem i nic, co filologiczne, nie jest mi obce” – *Philologus sum – philologiae nihil a me alienum*. A że filologia zawężyła literaturoznawstwo? Mogą tak mówić wyłącznie ci, którzy nie wiedzą, co znaczyła „filologia”. Do terminologicznego i zawodowego wyemancypowania literaturoznawcy dołączono oczekiwanie, że zamknie się w swojej pracowni i nie piśnie słowem na temat tego, co dzieje się poza jej czterema ścianami. Większość spełniła te oczekiwania, inni – nie. Zwłaszcza w czasach wielkiego społecznego napięcia i ludzkich nadziei.

To, co dotychczas zostało powiedziane, miało złagodzić i skomplikować dylemat wyrażony w artykule V. Macury: czy literaturoznawcy piszący na tematy nie literaturoznawcze, uciekają od siebie, czy – nie przestając być literaturoznawcami, tworzą siatkę pojęć nakładaną na świat, który, nie wiadomo dlaczego, bywa nazywany Nieliterackim. W końcu, po tym co powiedziałem, dochodzimy do sedna dylematu, do pytania, czym jest literaturoznawstwo.

W opinii jednych literaturoznawstwo bada grupę tekstów („bada” w najszerszym znaczeniu tego słowa: zbiera, uściśla, analizuje, kategoryzuje ...). Takie rozumienie jest, jeśli nie starsze, to przynajmniej bardziej tradycyjne i bardziej rozpowszechnione. Stąd może zrodzić się pytanie, co dzieje się z literaturoznawcami, którzy parają się problematyką nie literaturoznawczą.

Inny punkt widzenia zakłada, że literaturoznawstwo bada teksty i wydaje utwory. Literaturoznawca bada tekst *Hadzi Dimitra* [jeden z ważniejszych utworów bułgarskiego romantyka Christo Botewa – C.J.] i jeśli zna się na swojej pracy i ją szanuje, wglębia się weń, wykorzystując całą swoją wiedzę filologiczną. Równoległe z baczoną obserwacją celowo wybiera niektóre właściwości tekstu, pomijając inne, a trzecich nie dostrzega w ogóle, gdyż do ich odczytania nie istnieją stosowne filologiczne zmysły. Z dobranych w ten sposób cech literaturoznawca buduje w swojej świadomości utwór pt. *Hadzi Dimitr*. Teraz nadchodzi najtrudniejsza i najbardziej ryzykowna część pracy – opowiedzenie o tym wierszu w swoim tekście. Ów tekst niektórzy określają mianem metatekstu, inni paratekstem, trzeci – hipoteekstem – a chodzi po prostu o tekst, jak każdy inny, rozdwojony między słuzeniem sobą innemu tek-

stowi i zachowaniem własnych wartości. Podobne rozdwojenie obserwujemy także w literaturoznawstwie – między wiedzą o tekście literackim i konstruowaniem utworu literackiego za pomocą tekstu literaturoznawczego. Jednym słowem mamy do czynienia z literaturoznawstwem i literaturo-konstruowaniem. (Darujmy sobie komplementy dla literaturoznawcy. Przejścia od tekstu do utworu dokonuje każdy czytelnik *Hadzi Dimitra*. Od zawodowca oczekuje się wprawniejszego filologicznego oka, napisania swojego tekstu i określenia stopnia zależności i wolności między wyjściowym i nowym tekstem).

Gdybyśmy założyli, że literaturoznawca jest nie tylko „znawcą”, ale także konstruktorem, to nie zadawalibyśmy pytania, zaskoczeni, dlaczego wschodnioeuropejscy literaturoznawcy rzucili się do pisania o moskiewskim metrze, pomniku Masaryka (V. Macura), czy mauzoleum sofijskim. W oglądzie świata ludzie mniej lub bardziej ulegają wpływom swojego zawodu, czy tak zwanej zawodowej deformacji. Takiej formacji i deformacji poddaje się również filolog – i on może, jak Klemperer, prowadzić „notatnik filologa”, czy opowiadać, jak wygląda świat „z perspektywy filologa”. Własnym okiem zauważa bardzo dużo znaków, widzi też język w jego władczym i niewolniczym, naturalnym i patologicznym użyciu. Czy widzi treści i chronotoposy, jak przypuszcza V. Macura? Nie sądzę. Wspomnianych kategorii tam nie ma. Jakieś miasteczko, zajazd, karczma same z siebie nie są chronotopami. Stają się nimi, wiążąc w treści, teksty, porządki znakowe w utworach *Pod jarzmem*, *Wieczory w antymowskim zajazdzie*, *Gerakach*. Była posiadłość bułgarskiego cara, pałac i nowa siedziba Georgi Dymitrowa – mauzoleum dziesiątki lat ze sobą sąsiadowały, jedno naprzeciw drugiego w centrum Sofii. Czy to jest temat? Nie, to są jedynie zadane znaki, z których czyjś tekst może podjąć próbę zbudowania czegoś na kształt tekstu. Jeśli literaturoznawca ma naprawdę szczególnie wyczulone oko i jeśli rzeczywiście nauczył się czegoś z tego, co studiował całe życie, nic dziwnego, że może zacząć uprawiać swego rodzaju filologiczną publicystykę – szczególnie, jeśli bodźcem do takiego przedsięwzięcia są warunki społeczne.

To, co się zdarzyło u Macury, staje się dylematem i pytaniem: czy chodzi o „rozszerzanie imperium teorii literatury”, czy „utrata tożsamości naukowej dyscypliny”. Na owo „czy-czy” można odpowiedzieć „ani to – ani to” lub lepiej w ogóle nie odpowiadać, ponieważ w pytaniu użyto hasła „teoria literatury” będącego metonimią, oraz metaforycznych o-

kreśleń „imperium” i „tożsamość”. Sens pytania wydawał mi się inny i nad tym próbowałem się zastanowić.

W tym, co się zdarzyło, tkwi też specyficznie literaturoznawczy problem, a ponieważ nie chcemy utracić tożsamości, zasygnalizujmy go, to znaczy powróćmy do niego. Prace wschodnioeuropejskiej publicystyki filologicznej mają ze sobą wiele wspólnego pod względem tematów, budowy, stylu, tonu, zazwyczaj ironicznego i sarkastycznego, i pełnią podobne funkcje. Inaczej mówiąc, tworzą gatunek. W podstawowym zarysie ów gatunek nie jest nowością, ale obserwowany związek między filologią i ideologią, literaturoznawstwem i publicystyką jest czymś nowym. W tym, że literaturoznawstwo nie znalazło, a też chyba nie szukało gatunkowej nazwy dla tego, co samo stworzyło, nie ma wielkiej biedy. Jeszcze mniejszą stratą będzie, jeśli nie znajdzie się nikt, kto zechce poświęcić czas na badanie tego staro-nowego gatunku. Szkoda jednak, jeśli sens tego co się stało, nie zostanie zauważony, czy też źle zrozumiany. Pisarz i literaturoznawca nieustannie stoją na rozdrożu: czy tworzyć teksty możliwie najbardziej wyodrębniające się z wszechogarniającego morza tekstów, czy budować, na ile to możliwe, jak najwięcej przylegających doń punktów stycznych. Rozstaje dróg są rzeczywiście rozstajami i naiwnością byłoby się spodziewać, że pewnego dnia (a dlaczego nie dziś?) literatura i literaturoznawstwo ruszą w jednym kierunku, dostrzegając istnienie tego drugiego, a nieeleganckie byłoby wartościujące uznanie wyższości jednej z perspektyw. Przeszępując z nogi na nogę literatura i literaturoznawstwo nieustannie robią krok zarówno w jednym, jak i drugim kierunku. To, co napisali literaturoznawcy z Europy Wschodniej, było jednym z nich – i wiadomo, jaki to był kierunek.

Czy pozostanie to niezrozumiane? Takie artykuły, jak *W natarciu czy na tarczy?*, budzą nadzieję, że tak się nie stanie.

Przekład: Celina Juda